ŚWIATŁO

Pismo z obrazkami dla katolickich rodzin polskich.

Rok XI. Bytom G.-Ś., 22-go Lipca 1897. Nr. 29.

„Światło“ wychodzi co Czwartek. — Przedpłata kwartalna wynosi 1 markę (75 cent). — Abonować można na każdej poczcie (Zeitungs-Preisliste t (Polnisch) 107), w każdej księgarni, u agentów i z Wydawnictwa „Katolika“ w Bytomiu na G. Ślązku (Beuthen O.-S.) — OGŁOSZENIA przyjmują się za opłatą 15 fen. od 3-łamowego wiersza drobnym drukiem.

WALERYA.

OPOWIADANIE HISTORYCZNE

przez

ks. Antoniego de Waala.

(Ciąg dalszy.)

Gdy cichy, tajemniczy urok katakumb zuchwałą gromadę ogarnął, ustała ich wesołość a sam Sabinus byłby najchętniej zawrócił. Lecz odważniejsi kroczyli naprzód z dymiącemi pochodniami, sypiąc kawałeczki papieru na ziemię.

Po pewnym czasie skoro przez sklepione pieczary piaskowe przeszli, zobaczyli regularnie i podług pewnego planu założone ulice, których ściany były prostopadłe a w nich od dołu do posadzki płyty grobowe z białego marmuru lub czerwonej cegły. Wnet poznali, że teraz dopiero doszli do właściwego cmentarza chrześciańskiego.

Im dalej się posuwali, tem większy strach ogarniał Sabina. Trzymając się szaty tego, który przed nim postępował, nie śmiał spoglądać ani na prawo, ani na lewo. Lecz właśnie dla tego, że widział to, co go przestraszało, tylko jak przez mgłę, wyobraźnia jego tem bardziej się podniecała. W gankach ciemnych, otwierających jakoby paszcze po obu stronach, widział żarzące się oczy i powiewne postacie; to duchy zmarłych, poruszające się w powietrzu blisko grobów, gdzie ciała ich spoczywają. Przy niektórych grobach spadły płyty a w jamach było można widzieć szkielety ludzkie. Sabinus zamknął oczy, lecz ponieważ kości już widział, stały mu ciągle przed oczami duszy. Coraz silniej przeklinał w sercu chwilę, w której się zgodził na to straszliwe miejsce przybyć. Naraz przyszło mu na myśl, że duchy zmarłych chrześcian mogłyby się łatwo mścić na nim, jako na synu człowieka, który będąc chrześcianinem, stał się odstępcą. Mimowoli dotknął się karku swego, jakby badając, czy jeszcze na nim głowa jest.

Lecz i towarzysze jego zaczęli coraz bardziej odwagę tracić. Nie z samej ciekawości stawali od czasu do czasu, aby przeczytać jaki napis lub poprawić pochodni, których dym szczypiący napełniał podziemne ganki.

Od czasu do czasu spostrzegano na ścianach grobowców dziwne malowidła. Tu widziano potwora morskiego, któremu rzucano z okrętu człowieka w paszczę; naprzeciwko ten sam potwór wydawał połkniętego na ląd. Była to historya Jonasza, lecz poganie nie rozumiejąc jej, pytali się, czy te malowidła miały przedstawiać Ariona? — Tam znów widziano męża, stojącego z wyciągniętemi rękami pomiędzy lwami; a na innem miejscu stał mąż między siedmiu koszami, napełnionymi chlebami. Poganie domyślali się, że pierwszy był niezawodnie gladyatorem, drugi zaś piekarzem. W rzeczywistości przedsta

wiały dwa te malowidła Daniela w jaskini lwów i cudowne pomnożenie chleba dla rzeszy przez Pana Jezusa. Na innem malowidle można było widzieć męża, który z gołym mieczem stał nad związanym chłopcem. Była to ofiara Abrahama, lecz poganie w obrazie tym upatrywali potwierdzenie pogłoski, głoszącej, że chrześcianie jadają ciało zamordowanych dzieci.

Lecz tymczasem znowu odwaga zaczęła wracać uczestnikom tej wyprawy. Umarli nie wstawali jakoś z grobów; niewidzialna ręka koścista nie skręciła nikomu karku; przytem ulice katakumb stawały się coraz szersze i nie było potrzeby, aby jeden szedł za drugim, lecz mogli iść wygodnie jeden obok drugiego. Zaczęli sobie tedy znowu rozmawiać z cicha.

Wtem ci, którzy szli na czele pochodu, cofnęli się gwałtownie wstecz: w drzwiach jednego z grobowca stał duch, oświetlony światłem pochodni, ostro się rysujący na tle wielkiej ciemności, która była za nim. Jakby do ziemi przyrośli stanęli wszyscy, wlepiając w zjawisko oczy pełne grozy i trwogi.

Był to duch dziewicy. Zasłona spadająca z głowy, otulała blade, bardzo poważne, lecz i po śmierci jeszcze piękne oblicze. Wielkie czarne oczy spoglądały zrazu pytająco na przybyszów; potem jednak zabłysnął w nich ponury gniew i zaciemnił jasną twarz dziewicy: milcząc podniosła rękę i wskazała rozkazująco, aby sobie poszli ci, którzy spokój umarłych przerywać przybyli.

Rozkazu tego posłuchano zaraz i chętnie: każdy uchodził, jak mógł najprędzej, popychając idących przed sobą. Każdy chciał być pierwszy u wyjścia a ostatni czuli, iż duch jest tuż za nimi. Wszyscy odetchnęli dopiero wtedy lżej, gdy przybyli do pieczar piaskowych; przynajmniej byli pewni, że nikt z umarłych nie wyciągnął ręki ku nim ani nie ścisnął ich za gardło. Lecz nawet i wtedy, gdy za śladem kawałeczków papieru, aż do wyjścia i na drogę apijską się dostali, jeszcze nie poważyli się głośno rozmawiać, a tem mniej się śmiać.

Walerya była owym duchem, który zuchwałej gromadzie dalszą drogę zagrodził. Gdy grabarze grób dla jej ojca ukończyli, pozostała jeszcze sama w grobowcu i pochylona nad płytą, pod którą zwłoki matki spoczywały, modliła się, prosząc Boga o dodanie jej siły, aby mogła przetrwać bolesne chwile, jakie jej niebo zsyłało.

Niedługo jeszcze się modliła, gdy wtem usłyszała szelest. Myślała, że to grabarze kują niedaleko grób. Wtedy przyszło jej na myśl, aby na grobie ojca kazać umieścić ten sam napis, który ojciec swego czasu na grobowcu małżonki wyrył. Nie tracąc czasu, postanowiła zaraz to grabarzom polecić. Właśnie zamierzała wyjść z komory grobowej, gdy nagle gromadę przybyszów przed sobą zobaczyła. W pierwszej chwili stanęła jak wryta i nie była zdolna słowa powiedzieć. Wnet jednak poznawszy Sabina, oburzyła się na zuchwałość, która nawet ciszy grobów uszanować nie umie i wymownym ruchem ręki wypędziła przybyszów z poświęconego miejsca.

Gdy Sabinus z towarzyszami do miasta powrócił, usłyszał, że pod wieczór legiony Konstantyna stanęły w pobliżu Rzymu.

Noc spuszczała się na ziemię, gdy Walerya w drogę ku domowi się udała. Krocząc pustą ulicą, myślała ciągle o ojcu. Czy Rustyce się udało znaleść go? Czy jeszcze był przy życiu? — Ach, gdyby go Walerya choć raz jeden mogła zobaczyć, do niego przemówić i błogosławieństwo ojcowskie otrzymać. Spojrzała w Niebo. Miło, jak posłaniec niebieski, spoglądała na nią gwiazda wieczorna i jak matka dzieci swoje do snu przy piersi swojej tuli, tak w duszy Waleryi spuściła miła cisza wieczorna, spokój, ciszę i poddanie się wyrokom Bożym.

Któż przeto zdoła opisać boleść Waleryi, gdy przybywszy do mieszkania Ireny na Awentynie, od współmiesz-

kańców o uwięzieniu swojej drugiej matki się dowiedziała.

— Mój Boże, — westchnęła, płacząc rzewnie, — mój Boże, czy już wszelakie nieszczęście musi spaść na mnie? I ostatnia kropla miodu, która mi kielich życiowy osłodzić miała, zamieniła się w przykrą żółć.

Od śmierci Sofronii, Walerya często przypominała sobie ostatnią rozmowę z matką; przyrównując samą siebie do winogradu, znajdowała w tem siłę do przebycia bolesnych doświadczeń. I teraz przyszło jej na myśl owo podobieństwo, lecz to wspomnienie nie zdołało jej pocieszyć.

— Ach, Panie, — narzekała, — za ostro tnie nóż wątłą latorośl; przywiązana za mocno do krzyża, musi się złamać! — Dla czegoż nie było mnie w domu, abym razem z matką mogła była iść do więzienia i na śmierć! Zaledwie jeden grób się zamknął, już drugi przygotowany; któżby się był mógł spodziać, że jeszcze trzeci kopać będę musiała!

Wtem przypomniały jej się słowa Psalmisty i razem z nim rzekła: Twoje strzały trafiły mnie; ciężko spoczywa na mnie twoja prawica; Panie, wszystko moje cierpienie jest przed tobą a moje westchnienia nie pozostały dla ciebie tajnemi; nie opuść mnie, o Panie, Boże mój i nie odwracaj się odemnie!

Te święte słowa spuściły nieco ukojenia do zranionego serca Waleryi; zwolna znów odzyskała spokój i rozwagę.

Przedewszystkiem pilno jej było dowiedzieć się, co się z ojcem stało; zabrała się przeto i mimo nocnej pory udała się do mieszkania Rustyki.

Znając dobrze drogę, spieszyła wązkiemi, cichemi uliczkami Zatybrza, które wówczas jeszcze więcej malowniczo wyglądały, aniżeli dzisiaj. Tu widać było na pół rozwalony łuk mostu, tam ruiny świątyni. Z wysokości pobliskiego wzgórza Janikulskiego wychylały się cyprysy ku niebu; księżyc rzucał blade światło na ponure, zapadłe mury. Lecz młoda dziewica, zajęta całkiem myślą o ojcu, nie uczuwała grozy na samotnej wędrówce nocnej.

Walerya zastała w domu tylko grabarza Mincyusza i jego ociemniałą matkę; Rustyka jeszcze nie powróciła a staruszka napróżno się starała, uspokoić i uśpić małego synka, który wyrywał się do piersi matczynej. Licha lampka oświetlała skąpo skromne mieszkanie i rzucała światło na wązkie, długie płyty marmurowe, przeznaczone do zamykania grobów. Ogień, płonący na kominku rozszerzał przyjemne ciepło w izbie; na żelaznym trójnogu gotowała się woda w kociołku.

Mincyusz opowiedział Waleryi, jaki plan żona jego ułożyła, ażeby prefektowi nietylko w cierpieniach ulżyć, ale nawet z mocy nieprzyjaciół go wybawić.

— Ojciec wolny? Ach, Boże, czyż to podobna? Czy mogę mieć nadzieję?

Mincyusz powtórzył jej jeszcze raz cały plan z wszelkiemi szczegółami.

— Ach, jakieby to było szczęście — zawołała Walerya, — pielęgnować ojca w ciszy chaty zatybrzańskiej! Prawie za wielkie szczęście po cierpieniach ostatnich tygodni!

Potem opanowała wszelkie wzruszenie; za każdym szmerem z ulicy, porywała się ku drzwiom, aby zobaczyć, czy Rustyka wraca i czy ojca prowadzi. Nakoniec staruszka zwróciła jej uwagę, że z powodu osłabienia Rufinus nie powinien być wystawiony na wzruszenie, jakieby go z pewnością ogarnęło, gdyby nagle córkę zobaczył. Walerya zadała sobie przeto gwałt i obie zastanawiały się, jakby wszystko urządzić, gdy śmiały plan Rustyki za pomocą Boską się uda.

Lecz godzina po godzinie upływała, już minęła północ a Rustyki nie było. W izbie zapanowała cisza: mały synek usnął, starą babkę także sen znużył, Mincyusz i Walerya siedzieli, pogrążeni w myślach, pełni oczekiwania.

Nakoniec dały się słyszeć na ulicy kroki; Walerya skoczyła ku drzwiom i na pierwszy rzut oka poznała mimo przebrania swego ojca. Byłaby najchętniej zakrzyknęła z radości, lecz prze-

zwyciężyła się, przycisnęła obie ręce na usta i tylko niewypowiedzianie wdzięczny wzrok, jaki posłała ku Niebu, był znakiem radości i szczęścia jej serca. Podczas gdy Mincyusz i Rustyka zmęczonemu na śmierć Rufinowi na schody wejść pomagali, świeciła Walerya z góry lampką, ręką twarz sobie zastawiając; potem podała lampkę staruszce a sama cofnęła się w głąb izby.

Grabarz i żona jego położyli prefekta na prędko przygotowane łoże; Rustyka zmięszała wina z ciepłą wodą i podała choremu, trzęsącemu się z zimna. Walerya niespostrzeżona przyglądała się temu wszystkiemu a łzy litości spływały jej po policzkach. Jakże trudno jej było nie dać się poznać!

— Uratowałaś mi życie, dobra niewiasto, — odezwał się prefekt, — lecz cóż mi po niem, skoro moje dziecko, moje wszystko, w ręce tyrana się dostało i na śmierć ma być wydane?

— O nie, szlachetny panie, — zawołała niewidoma matka, — twoja córka była tu co dopiero; Mincyusz pójdzie zaraz po nią.

— Ona tu była? — zawołał Rufinus, — a więc nie została uwięziona razem z Ireną? Ach, spieszcie się i przyprowadźcie mi ją czemprędzej. Tak, teraz mi dobrze; wszystkie cierpienia, wszystka nędza zostaną zapomniane, skoro zobaczę słodkie moje dziecko.

— Myśmy córkę twoją tu w pobliżu, u pewnej rodziny chrześciańskiej umieścili, — odezwał się Mincyusz; — lecz czy widok jej przy wielkiej twojej słabości nie mógłby ci zaszkodzić.

— Czyż może zaszkodzić łaknącej i usychającej roślinie, gdy Niebo nakoniec orzeźwiający deszcz na nią spuści? Lecz podnieście mnie, zanim córka moja przyjdzie, aby się nie przelękła z powodu mojego stanu.

— Tato, oto jestem! — zawołała Walerya, nie mogąc dłużej wytrzymać i zaczęła mu ręce całować.

Rufinus pociągnął dziecko swoje ku sobie i wziął ją w ramiona; oboje trzymali się długo w objęciach, szczęśliwi nad wyraz, że znowu są razem.

O tym samym czasie przewracał się Maksencyusz na cesarskiem łożu, trapiony niespokojnymi snami. Śniło mu się, że jest w cyrku; wszystkie miejsca zajęte przez widzów, oczekujących początku widowiska. Właśnie miał cesarz dać znak, gdy postać olbrzymia i wielkiej powagi stanęła przed nim i rozkazała mu z majestatem Boga, wziąć na plecy obelisk, w środku areny stojący. Maksencyusz musiał być posłuszny. Ogromny ciężar przygniatał go wielce; wzdychając, dysząc, cały w pocie wlókł się apijską drogą do miasta. Co chwila miał upaść, lecz groźny wzrok olbrzyma zmuszał go do dalszej drogi. Nakoniec stanęli w stadyonie czyli szrankach wyścigowych Domicyana. Tam na tronie siedziała dziewica z palmową gałązką w ręku; u jej stóp spoczywał śnieżno-biały baranek. Przed nią miał Maksencyusz postawić obelisk, lecz to było rzeczą niezmiernie trudną. Gdy mu się to nakoniec po wielkich mozołach udało, nadleciał biały gołąb z gałązką oliwną w dzióbie i usiadł na szczycie obelisku. Wtem obudził się cesarz.

— Na Jowisza, — mruknął głęboko oddychając i pot z czoła ścierając, to był okropny i ciężki sen! Ten okrutnik, który mnie do niewolniczej roboty zmusił, kto on? — A kimże jest dziewica, przed którą obelisk wznieść musiałem? Muszę jutro zapytać się chaldejskich wróżbitów, co sen ten ma znaczyć.

Wróżbici, nazajutrz rychło rano zapytani, nie umieli snu wyjaśnić. Jakże też mogli się domyślić, że półtora tysiąca lat później papież Inocenty X obelisk Maksencyusza z gruzów cyrku odkopawszy, postawić każe przed kościołem św. Agnieszki a na szczycie umieści swój herb, gołąbka z gałązką oliwną?

KONIEC CZĘŚCI PIERWSZEJ.

Prace ludoznawcze na Górnym Ślązku mianowicie Józefa Lompy.

Napisał ksiądz Karol Myśliwiec.

Nauka, którą po dziś dzień ludoznawstwem, z angielskiego »folkorystyką«, po niemiecku »Volkskunde« zowiemy, jest nauką zupełnie jeszcze nową, jest wynikiem i owocem dążeń i usiłowań humanitarnych 19 go wieku. Odkąd zaczęto się zajmować niższemi warstwami ludu uznano też potrzebę poznania istoty i charakteru ludu i odtąd zaczęto zwracać uwagę na ludowe pojęcia, podania, baśni, pieśni i t. p. Z chlubą można podnieść, iż słowiańscy uczeni byli pierwszymi, którzy na tem polu zaczęli pracować. W Rosyi pojawiły się już w przeszłym wieku zbiory ludowych pieśni i zwyczajów. (Por. Nehring: Die ethnographischen Arbeiten der Slaven. Zeitschrift des Vereins für Volkskunde 1891). W Czechach prawie wszyscy znakomitsi uczeni epoki narodowego odrodzenia, oddawali się przedewszystkiem badaniom archeologicznym, lingwistycznym i etnograficznym, otworzyli w ten sposób mnóstwo środków do odrodzenia narodowego i położyli niejako kamień węgielny pod budowę narodowego gmachu. Dosyć wspomnieć nazwiska Dąbrowskiego, ojca lingwistyki słowiańskiej, Szafarzyka, którego dzieła możnaby encyklopedyą słowiańską nazwać, Palackiego, którego dzisiejsze pokolenia jako »ojca ojczyzny« czczą, Jungmana, Hanki i t. d. a łatwo pojmiemy, co i jak, z jakim zapałem pracowano w Czechach nad zbadaniem wszystkiego, co ludu i kraju czeskiego dotyczyło. Uczeni czescy nie ograniczali się na własnym narodzie, ale badania swe rozciągali na całą słowiańszczyznę i można rzec, iż oni budzili na całym obszarze ziemi słowiańskiej zamiłowanie do ludu, do rzeczy ludowych.

I w Polsce zaczęto zwracać uwagę na lud. Pierwszym naszym uczonym, który zwrócił uwagę badaczów na doniosłe znaczenie zwyczajów i obyczajów, pieśni i podań ludowych był ks. Hugo Kołłątaj. W liście pisanym 15-go Lipca 1802 roku do księgarza Jana Maja między innemi radami szeroko rozwinął projekt zbierania wszystkich szczegołów odnoszących się do życia ludu. Niebawem okazały się skutki tego projektu, bo już w roku 1805 została w »Pamiętniku Warszawskim« ogłoszona rozprawa p. t. Swactwa, wesela i urodziny u ludu ruskiego na Rusi Czerwonej. W roku 1811 Ignacy Czerwiński opisuje w osobnej książce zwyczaje i obyczaje ludu »Okolicy Zadniestrskiej między Stryjem i Łomnicą.« Takie były początki. Najsilniejszą pobudkę do badań ludoznawczych dał w Polsce nadzwyczaj wielki lubownik rzeczy ludowych i zagorzały czciciel starożytności słowiańskiej Adam Czarnocki pseud. Zoryan Dołęga Chodakowski. On to w poszukiwaniach swoich schodził pieszo całą prawie słowiańszczyznę, zbierał jej zabytki i pieśni ludowe, niestety nie dożył jednak wydania ich drukiem i jedynym owocem tych badań był wydany przez Maksymowicza: »Zbiór pieśni małorosyjskich«. W tym samym duchu i z równym zapałem pracował, Wawrzyniec Surowiecki, którego dzieło: »Śledzenie początku narodów słowiańskich« (Warszawa 1820) głośnem się stało w całej słowiańszczyznie i było pobudką i podstawą dalszych badań starożytności i historyi Słowian.

Śladem Chodakowskiego i Surowieckiego, których można twórcami czyli założycielami folklorystyki polskiej nazwać, poszło wielu innych i sporo pomnażały się prace folklorystyczne, które się niejako wszystkie skupiają i znakomicie dopełniają w wielkiem pomnikowem wydawnictwie Oskara Kolberga p. t. »Lud, jego zwyczaje, sposób życia, mowa« i t. d.

Ślązk zawsze przedstawiał obszerne i ciekawe pole dla badań ludoznawczych

Położony wśród dwóch zupełnie odrębnych od siebie światów, gdzie od wieków ścierały się z sobą słowiańszczyzna i niemczyzna zajęty aż przez cztery różne narodowości: polską, czeską, serbołużycką i niemiecką, przechodził w ciągu czasu najrozmaitsze koleje losu i najrozmaitszym ulegał wpływom, a wszystko to nie pozostało bez śladu ale wyraźnie odbiło się na życiu ludowem. Z tego wnosząc przypuszczaćby należało, iż uczeni słowiańscy i niemieccy niejako w zawód ze sobą pobiegli w zbadaniu tego ciekawego kraju i ludu. Tymczasem stało się właśnie przeciwnie. Jakoby jeden drugiemu ciekawe to pole badań odstępując ani Słowianie ani Niemcy nie uczynili w tym względzie tego, co im uczynić wypadało. Z pomiędzy Niemców zaiste prof. Karol Weinhold jest powagą w znajomości kraju i ludu niemiecko-ślązkiego i on to właśnie w rozprawie swej: »Die Verbreitung u. Herkunft der Deutschen in Schlesien str. 83 tak się na swoich ziomków użala: »Im übrigen Deutschland kennt man wenig oder gar nicht Land u. Volk Schlesiens. Wir gelten kurzweg für »Wasserpolacken.« Von unserem deutschen Volksleben weiss man nichts.«

Daleko mniej jednak aniżeli Niemcy uczynili Słowianie, mianowicie Polacy. Toć Polacy po za granicą Ślązka długo nie wiedzieli wcale, że Ślązk to odwiecznie polska ziemia, Ślązacy zaś nie wiedzieli, że są Polakami. Doprawdy, rumieniec wstydu występuje dziś na twarzy prawego Polaka, jeżeli czyta tak upakarzające słowa jakie wypowiedział n. p. rodowity Niemiec Hoffmann von Fallersleben w »Schles. Provinzialblatt« 1862 str. 510. Tenże pisze tam z powodu ukazania się drukiem pierwszych arkuszów znakomitego zbioru »pieśni ludu polskiego w Górnym Ślązku« Juliusza Rogera: »Die Hochpolen und andere Slaven werden künftig nicht mehr so verächtlich, wie bisher, von diesem »Wasserpolnisch« sprechen, sondern sich überzeugen, dass diese slavische Mundart allen übrigen gegenüber ihre volle Berechtigung hat und wegen der nur ihr eigentümlichen Wörter u. Formen grosse Beachtung verdient.«

O, żeby nietylko Polacy, ale i Niemcy starali się nabrać lepszych wyobrażeń o polskim Ślązku i o Ślązakach, starali się prawdę poznać i sprawiedliwość im wymierzyć.

Głośne wypadki polityczne czyli zacięta walka wyborcza lat ostatnich zwróciły uwagę szerszych kół polskich i niemieckich na Ślązk. O wartości owoców owych walk różne można mieć zdanie, to jednak pewna, że sowicie wynagrodzonem zostałoby wszystko, co złego miały w następstwie, gdyby stały się zachętą i pobudką do lepszego zbadania kraju i ludu ślązkiego, jego położenia i jego stosunków. Nie pierzchną jednak pokłady ciemności, nie stopnieją lody krainę ślązką zalegające dopóty, dopóki Ślązacy sami ręki do nich nie przyłożą. Śmiało nawet twierdzić można, iż bez pomocy Ślązaków Ślązk zawsze zostanie krainą nieznaną. Co trzeba zrobić i jak pracować powinniśmy, tego przykładem i wzorem pozostanie na zawsze nam ś. p. Józef Lompa. Mąż ten poświęcił wszystko co miał, całe swoje życie i wszelkie swe siły pracy dla swego ludu, przedewszystkiem zaś starał się piórem ziomkom swoim się przysłużyć. Jako bardzo ruchliwy literat i jako piszący po polsku zajmuje on pierwsze miejsce w dziejach naszego narodowego odrodzenia. Lecz rodak nasz, ów skromny nauczyciel zasłynął daleko poza granicami Ślązka i nazwisko jego było znane i wymieniane w świecie naukowym równie w Warszawie, jak w Krakowie, Poznaniu lub Wrocławiu. Tak zaszczytną sławę zjednał sobie głównie pracami ludoznawczemi. Gorąca miłość ludu była mu zachętą do gruntownego zapoznania tegoż ludu z jego mową, pieśniami, zwyczajami, podaniami i pojęciami. W tej właśnie gałęzi wiedzy zdobył sobie gruntowną znajomość. W »Schl. Provzlbl.« 1863 r. str. 299 redaktor tegoż pisma Oelsner takie wystawia mu świadectwo: »In Bekanntschaft mit slavischen Sagen, Bräuchen, Altertümern wird ihm nicht bald

jemand gleichkommen, Schade, dass vieles hierin Gesammelte ihm verloren gegangen.« Szkoda, iż z wszystkich tych jego zbiorów, tylko zbiór przysłów drukiem wyszedł p. t. »Przysłowia i mowy potoczne ludu polskiego na Ślązku« Bochnia 1858. Jestto jedyny tego rodzaju zbiór u nas a ponieważ jest bardzo rzadkim, byłoby nowe jego wydanie bardzo pożądanem. Jak w każdej innej bowiem rzeczy tak i tutaj potrzeba najprzód zebrać, zbadać, poznać i do ogólnego podać użytku to, co już istnieje, zanim praca może postąpić naprzód. O zbiorze przysłów J. Lompy pisał O(ttow) A. M. w »Schl. Prvzlbl.« 1866 str. 656. Polskie przysłowia z Ślązka znaleść też można porozrzucane w następujących książkach:

1) Volchmar Nicolaus: Vierzig Dialogi oder lustige Arten zu reden von allerhand Sachen und Handeln in deutscher und polnischer Sprache zusammengebracht. Breslau 1688.

2) Moneta Johann: Euchiridion polonicum od. poln. Handbuch. Breslau 1763, str. 177—228.

3) Tenże: Poln. Gramatik. Breslau 1786, str. 366—432.

4) Fiedler: Bemerkungen über die Mundart der polnisch. Niederschlesier. Breslau 1844.

5) Zmorski Roman: Podania i baśni ludu w Mazowszu z dodatkiem kilku ślązkich i wielkopolskich. Wrocław 1852.

6) Dzwonek. Pismo dla ludu. Lwów 1867 tom 16 i 17: rady gospodarskie podaje Juliusz Ligoń.

Lompa posiadał oprócz wydanych przysłów jeszcze drugi zbiór przysłów w rękopisie, jak to poświadcza Łucyan Malinowski w Ateneum 1877 t. I.: Zarysy z życia ludowego na Ślązku i »Schles. Prvzlbl. 1863 str. 618. Besuch beim Lompa in Woischnik. W niemieckim rękopisie jego, który się znajduje w bibliotece miejskiej w Wrocławiu p. sgn. Hs. R. 2456 a. Märchen, Sagen, Sitten, Gebräuche u. Aberglaube des schles. slav. Volkes Heft I—III 1846, są następujące przysłowia:

1) Z Ścinawy: Pan drze chłopa jako szkopa, a pop drze pana jak barana.

2) Z Siewierza: Kradnij i zabijaj Siewierz, Koziegłowy omijaj.

3) Z Przyszowic: Świnia ryła — nie wyryła, wieprz rył — wyrył.

4) Dzieci kania leci, pobierze was, nie będzie was.

(Dokończenie nastąpi.)

Z życia bawołów amerykańskich zwanych bisonami.

»Bisony, w niezliczonych stadach, ożywiają ciągnące się w bezgraniczną dal prerye na zachód od Missouri; wędrówki ich odbywają się na przestrzeni od Kanady aż do wybrzeży nad Meksykańską zatoką i od brzegów Missouri aż do gór Skalistych. W ogóle można przyjąć, że główne gromady tych zwierząt wędrują regularnie z wiosną ku północy, a w późniejszej jesieni napowrót ku cieplejszym stronom południa. Wprawdzie natrafia się pojedyncze sztuki nad źródłami rzeki Yellowstone i dalej jeszcze ku północy, wygrzebujące sobie w zimie paszę z pod śniegu, jako też inne, w lecie ogryzające w Texas spaloną od promieni zwrotnikowego słońca trawę; takich jednak jest mało i są to po większej części stare byki, zbyt leniwe lub zbyt słabe, aby mogły podążać za gromadami, którym przewodniczą młodsi ich następcy.

W miesiącach Sierpniu i Wrześniu, wypasione przez wiosnę i lato na soczystych trawach, ciągną bisony zbite w taką gromadę, że równina czerni się od nich jak daleko okiem zasięgnąć, a obliczyć ich mnogość można tylko w przybliżeniu, obrachowując miejsca zajmowane przez pojedyncze sztuki, na

mile kwadratowe. Tysiące i tysiące tłoczą się w dzikiej bezładnej kupie, kurz chmurami się wzbija, poruszony tysiącami ryjących ziemię racic, gdy byki rozpoczynają zajadłe pomiędzy sobą walki, głuchy, basowy ryk wstrząsa powietrzem pustyni, jak huk dalekiego grzmotu. Czasem łowiec przez całe tygodnie i miesiące wędrować może po stepie nie natrafiwszy na świeży ślad bisona, a jeśli traf nie naprowadzi go na gromadę, która mu po całych dniach drogę zagradza, to mógłby mniemać, że wszystko w stepie wymarło. Przyśpiesza kroku, aby wreszcie znaleść się wśród żyjących istot i pozostawić za sobą martwą pustynię. Po kilku tygodniach następuje nagła zmiana; wielkie gromady rozbijają się na mniejsze stada, rozsypują się po okolicy i w tej do niedawna przerażającej pustynnej głuszy, na nowo wre życie. Wkrótce napotykamy pojedyńcze bisony pasące się spokojnie i zamiatające ziemię długiemi swemi brodami, to znowu małe stadka spoczywające w trawie i przeżuwające pokarm, albo igrające z sobą i wyprawiające najpocieszniejsze skoki; albo też widzimy całe ich szeregi, kroczące poważnie po wydeptanych ścieżkach, prowadzących najwygodniejszą drogą wśród gór do rzeki, albo do moczarów, gdzie się do woli mogą w błocie wytarzać. Stary byk, prowadzący stado, postępuje z powagą na jego czele, szukając w nizinie miejsca odpowiadającego jego życzeniom, a gdy je znajdzie, wówczas przyklęka na przodzie nogi i zaczyna krótkiemi swemi rogami ryć ziemię, grzebiąc nogami, uderzając głową, odrzuca murawę i pulchną ziemię, aż wreszcie wydrąży lejkowaty dół, w którym niezwłocznie gromadzi się woda; w takiej kałuży kładzie się zwierzę dręczone upałem i owadami, pogrążając się coraz bardziej w bagnisku, osiadającem pod ciężarem jego ciała i urządzając sobie chłodne legowisko, grzebaniem nogami i obracaniem się w kółko. Używszy do woli tej rozkoszy wyłazi wreszcie z bagna w postaci istnego straszydła, długa broda i kudłata grzywa stanowią jakiś nieforemny kłąb ociekły błotem i tylko biegające w koło oczy zdradzają, że ta masa błota jest żywym, potężnym bisonem. Skoro pierwszy opuści kałużę, zaraz drugi zajmuje jego miejsce, a potem ustępuje je trzeciemu. Tak po kolei cała trzoda używa do syta tej kąpieli błotnej, pozostawiającej na ich ciele ślady w postaci twardej skorupy błota, która dopiero stopniowo zostaje usuniętą tarzaniem się po ziemi, lub spłukaną przez deszcze.

GŁOWA BAWOŁU.

W dawnych czasach, gdy bisony stanowiły niejako domowe zwierzęta Indyan, nie można było dostrzedz zmniejszania się ich liczby, przeciwnie, trzymały się dobrze i mnożyły się na bujnych pastwiskach. Lecz do krain tych przybyli biali; miękką siercią pokryte skóry znęciły ich; tłuste mięso smakowało im; na obu zaś tych produktach obiecywali sobie znaczne zyski w cywilizowanych krajach. Najprzód obudzono w mieszkańcach stepu pożądliwość do błyskotek i upajających produktów przemysłu białych, dostarczając im tych fraszek w najskąpszych rozmiarach za ich łowieckie łupy i rozpoczęło się pustoszenie. Zabijano tysiące bisonów dla samych tylko ozorów, albo dla skór jedynie, a już po kilku latach takiej dzikiej gospodarki, zmniejszanie się ilości bisonów stało się widocznem.

Indyanin żyje bez troski o jutro, dbając tylko o zaspokojenie żądz swoich na dzień dzisiejszy. Nie potrzebuje on zachęty do łowów, ale ścigać będzie bisony, dopóki z ostatniego z nich nie

zedrze skóry. Niewątpliwie bliskim jest czas, w którym te zdumiewające liczebnością swoją trzody żyć będą tylko we wspomnieniu, a trzykroć sto tysięcy Indyan pozbawionych pożywienia i trapionych strasznym głodem, w towarzystwie milionowych gromad wilków, równie jak oni wygłodzonych, staną się klęską sąsiednich cywilizowanych okolic, zanim nie zostaną wytępieni do szczętu. Bison liczy wielu nieprzyjaciół, ale najstraszniejszym z nich jest Indyanin; liczne również są sposoby, za pomocą których prześladowcy pokonywają swoje ofiary.

Łowy na bisony są dla Indyanina na preryach nie tylko środkiem utrzymania, ale też i największą rozkoszą. Siedząc na zwinnych i wytrzymałych koniach, które sobie ze zdziczałych stad na stepie ułowili i objeździli, są w stanie dognać każdego zwierza na równinie i szukają chluby w zręczności, z jaką z konia miotają pociski na uciekające stado. Skoro Indyanin zamierza wykonać napad na stado bisonów, wtedy ogołaca siebie i konia ze wszystkich niepotrzebnych i zawadzających przedmiotów; do takich należą, odzież jego i osiodłanie konia; tylko upleciony z surowego rzemienia sznur, długi na czterdzieści stóp, uwiązany jest u szczęki konia i przerzucony przez kark jego ciągnie się w całej długości po ziemi. Sznur ten służy do kierowania koniem, ale też w razie spadnięcia z niego jeźdzca, do łatwiejszego opanowania luźnego konia. Łowiec w lewej ręce trzyma łuk i tyle strzał ile się w dłoni zmieści, w prawej ciężki bat, którego bezlitośnemi razami pobudza szybkiego swego konia do wpadania w środek uciekającego stada i zajęcia miejsca koło tłustej krowy lub młodego byka.

Zmyślny koń doskonale pojmuje zamiary jeźdzca i nie potrzebując innej wskazówki dopada do wybranej ofiary, aby dać możność jeźdzcowi w najstosowniejszej chwili pogrążyć strzałę aż po upierzenie w boku bisona. Zaledwie jęknie naprężona cięciwa łuku, zaledwie

TWARDY ORZECH.

żelezce strzały przez kudłatą sierć przenikną do tłustego mięsa, koń z własnego popędu potężnym rzutem uskakuje na bok chroniąc się od uderzenia rogów rozwścieczonego bólem zwierzęcia i wraz z jeźdzcem goni za nową ofiarą. Tak pędzi zapamiętały łowiec po równinie, dopóki zmęczenie konia nie nakaże jeźdz-

cowi zaprzestać pogoni. Tymczasem ranione bisony oddzieliły się od stada i martwe lub z sił wyczerpane leżą na równinie, ciałami swemi znacząc drogę, po której odbywały się dzikie te łowy. Kobiety łowca pośpieszyły jego śladem i niezwłocznie się zajęły rozbieraniem zabitych bisonów, zdejmowaniem skór i przenoszeniem zdobyczy do swoich wigwamów, gdzie mięso kraje się w cienkie paski i suszy się, a skóry garbują się zapomocą bardzo prostych sposobów. Wielka część łupu staje się udziałem wilków, których liczne gromady nieodstępnie towarzyszą bisonom.

Ponieważ długa i gęsta grzywa bisona zasłanie mu oczy i niedozwala mu dokładnie rozpoznawać przedmiotów, zatem Indyanin umie i bez pomocy konia owładnąć tą zwierzyną. Okrywa sobie głowę i całe ciało skórą wilczą i posuwając oręż swój przed sobą pełznie na czworakach zygzakiem, zbliżając się do zwierza. Jeśli tylko wiatr wiejący od niego w stronę stada, nie zdradzi jego przebrania przed bisonami, wtedy z pewnością mu się uda podpełznąć na bliską odległość i przeszyć strzałą zwierza, a reszta stada bynajmniej tem się nie niepokoi.

Zwierzęta te nie lękają się nawet huku broni palnej, dopóki tylko węch nie ostrzeże ich o obecności człowieka, a dobrze ukryty strzelec może dać kilka strzałów do wybranych sztuk w spokojnie pasącem się stadzie; nawet przedśmiertne chrapanie ugodzonego kulą zwierzęcia nie wywołuje innego skutku, jak że jeden lub drugi bison podniesie grzywiasty łeb, obejrzy się do koła i znowu spokojnie bierze się do skubania trawy.

Biedne bisony prześladowane są w każdej porze roku, nawet wtedy gdy śnieżne zamiecie pokryją niziny grubą warstwą śniegu, czyniąc niemożliwemi ulubione łowy konno. Stado wtedy z trudnością i powoli kopie się przez śniegi na kilka stóp wysokie, lecz przebiegły Indyanin przywiązuje sobie do nóg szerokie ale lekkie łyżwy śniegowe i nie zapadając głęboko, dopada do ciężko brodzącego w śniegu olbrzyma i przebija oszczepem bezbronne zwierzę.

Połów pereł na wyspie Cejlon.

Cejlon wydając wszystkie prawie płody indyjskie, posiada nadto obfite ławice perłowych muszli, których gdzieindziej niedostaje. Rząd angielski nie pozwala nikomu z prywatnych łowić pereł, zachowując to dla siebie. Chciwość gubernatorów o mało nie wyniszczyła do szczętu ławic perłowych i dopiero uczeni naturaliści, wziąwszy je z polecenia rządu w opiekę, zabezpieczyli od zagłady.

Właśnie podczas pobytu Nowarry w Cejlon, nadeszła pora połowu. Co roku na początku Lutego rozpoczyna się łowienie i trwa przez 3 tygodnie. Jest to niejako uroczystość ludowa, na którą zjeżdżają się ze wszystkich stron wyspy zamożniejsi mieszkańcy, a i gubernator z wyższymi urzędnikami przybywa.

Najbogatsze ławice znajdują się na zachodniem wybrzeżu zwanem Kondacza, gdzie leżą liche miasteczka Aripo i Manaz. Wybrzeże to skwarne, przez większą część roku zamieszkałe jedynie przez roje dokuczliwych muskitów, zatrute niezdrowymi wyziewami, ożywia się niezmiernie podczas połowu. Wówczas, jakby za skinieniem czarnoksięskiej laski, wyrasta nieprzejrzane mnóstwo chat bambusowych, pokrytych liściami palmowymi, niezmierna liczba kramów z rozmaitymi towarami, przystań zapełnia się statkami rozmaitej wielkości, a sto tysięcy ludzi obiera tu sobie dwudziestodniowy pobyt. Nietylko mnóstwo majtków i nurków snuje się do koła; nie braknie także kuglarzy i linoskoków, a nawet biegli w swej sztuce zło-

dzieje przybywają tutaj, spodziewając się dobrego obłowu. Przybywa także bardzo wiele Hindusów ze stałego lądu i można widzieć najrozmaitsze stroje indyjskie; duchowieństwo wszelkich wyznań gromadzi się tutaj: bramini, bonzowie, derwisze, kalendery, fakiry przechadzają się swobodnie obok księży katolickich, pastorów protestanckich i anglikańskich. Ponieważ nurkowanie należy do bardzo uciążliwych zatrudnień, od dawna przeto starano się zastąpić je dzwonami nurkowymi, lecz przekonano się, że żadna machina nie zdoła wyręczyć wprawnego nurka, który zwykle jako wynagrodzenie otrzymuje czwartą część złowionych muszli perłowych.

Kilkaset statków wypływa na morze, rozstawiając się opodal od siebie. Na każdym znajduje się 10ciu nurków i tyluż asystentów. Zanim nurki zaczną spuszczać się w morze, występuje zaklinacz morskich potworów, który wykrzywiając się, macha rękami i wymawia rozmaite formuły czarodziejskie, mające odstraszyć ludojady i zabezpieczyć nurków od pożarcia. Ludzie ci, są tak zabobonni, że nietylko poganie, ale nawet chrześcianie indyjscy za żadną cenę nie dadzą się skłonić do spuszczenia w morze, dopóki oszust taki nie odprawi swych czarów. Rząd musi ich opłacać, i zwykle otrzymują po dziesięć muszli od każdej łodzi.

Zresztą nie tak znów wielkie niebezpieczeństwo zagraża od ludojadów nurkom; zgiełk panujący w przystani, tysiące zanurzających się ludzi odstrasza te żarłoczne ryby, a nawet, jak twierdzą Indyanie, ciemny kolor ich skóry odstrasza potwory, i dla tego nawet niektórzy czernią sobie ciało, aby jeszcze bardziej ludojadów przerazić.

Nurek wziąwszy torbę siatkową, wiąże do nóg kamień około 25 funtów ważący, spuszcza się na dno, a odwiązawszy kamień, który natychmiast wyciągają, rzuca się na ziemię i pełza, trzymając się silnie dna. Tym sposobem w ciągu minuty bawienia pod wodą, zabiera wszystkie muszle perłowe jakie natrafi, a gdy da znak wstrząśnieniem liny, wyciągają go napowrót.

Jeżeli nurek zapuści się głębiej jak na 40 stóp pod wodę, rzuca mu się krew nosem i uszami. Zwykle bawią pod wodą 50 do 60 sekund, lecz są tacy, co potrafią wytrzymać 80 do 84 sekund w przepaściach morskich. W ciągu 6 godzin połowu, dziesięciu nurków zanurzając się kolejno, dostarczają po 1000 do 4000 muszli na osobę. Jeżeli natrafi się na miejsce obfitujące w muszle, to ich nieraz do 150 zebrać może, w płonnych za to, zaledwie ich 10 lub 15 wydobędzie. Po ukończonym dziennym połowie, statki przybijają do brzegu; muszle rozdzielają się na cztery części, jednę z nich biorą nurki, reszta zaś układa się w kupki po 1000 sztuk i sprzedaje przez publiczną licytacyę płacącemu najwięcej.

Jest to rodzaj loteryi, ślepe igrzysko losu; zdarza się bowiem, że czasami jedna muszla zawiera 30—40 a nawet więcej pereł, z których część na miejscu można sprzedać po parę dukatów za sztukę, gdy tymczasem niekiedy trafia się, że w kilkuset muszlach nie znajduje się i jednej perełki. Drobniuchne jak piasek perły składają się osobno, a przemysłowcy palą je na wapno, zupełnie podobne zwyczajnemu. Że zaś nigdzie nie brakuje głupców lubiących zbytkować i pieniądze za okno wyrzucać, przeto i tutaj znajdują się bogaci Malaje, którzy zakupują po wysokiej cenie to wapno, aby je potem żuć z betelem i areką*), i przechwalać się tem przed innymi. Perły pozbawione połysku, Cejlończycy dają połykać kurom, w których wolu wkrótce nabierają pięknego blasku. Następnie kury zarzynają się, a wydobyte z nich perły idą na sprzedaż.

Niegdyś twierdzono, że perły powstają tylko w skutek choroby muszli, ale badania nowsze okazały fałszywość tego twierdzenia: Uczony badacz Teodor Hessling, wydał osobne dzieło, w któ-

*) Betel, gatunek pieprzu pomieszany z orzechem areki i posypany niegaszonem wapnem, który mieszkańcy południowej Azyi żują jak europejscy majtkowie tytoń.

rem okazuje, że perły tworzą się w oponie małża, która otwiera się na zewnątrz; przez otwór wciskają się obce ciała, jako to ziarneczka piasku, szczątki roślin, a te urażają delikatne ciało małża, a nawet je kaleczą. Naówczas wydziela się płyn, i oblewając przedmiot obcy, warstwami na nim tężeje; tym sposobem tworzy się perła.

Rzadkość i kosztowność pereł, naprowadziła ludzi do próbowania, czy się nie uda tworzyć sztucznych. Zaczęto wpuszczać ziarnka piasku do muszel, pomiędzy skorupę a oponę, i te z czasem pokrywały się masą perłową. Chińczycy biorą się najzręczniej do tego; w pobliżu miasta Hon-Tschu, istnieją zakłady znaczne wytwarzania sztucznych pereł. Synowie państwa chińskiego nie poprzestają na perłach okrągłych, ale wyrzynają nadzwyczaj drobne figureczki, najczęściej przedstawiające Buddę, proroka chińskiego, w postawie siedzącej. Płyn perłowy postaci te oblewa, ścina się na nich i tworzy odpowiednie drobnostki. Badacze, śledzący pilnie tworzenie się tego rodzaju figurek, dostrzegli, że już po kilku dniach, są one powleczone cieniuchną warstewką płynu, który z czasem przenika wapno i tym sposobem zamienia się w masę perłową.

Klejnoty czyli drogie kamienie cejlońskie, odznaczają się nie tak ilością, jak raczej pięknością; napotykają je głównie w okręgu Safagram, którego stolica zowie się Ratuapure, co w języku Cyngalerów znaczy miasto rubinów. Oglądaliśmy te kopalnie, leżą one nad rzeczką niewielką, po części w jej łożysku, w części po obu brzegach; głębokość ich do piętnastu łokci wynosi, a podczas roboty trzeba z nich wciąż wypompowywać wodę, bo je zalewa. Głównym produktem kopalni tej są rubiny i szafiry. Znajdują się tutaj także topazy, ametysty, granaty i turmaliny. Przeciwnie zaś dyamenty, szmaragdy, krwawniki, agaty i turkusy, wystawione na sprzedaż w Cejlonie, sprowadzają się ze stałego lądu Indyj.

Ze wszystkich kamieni drogich, mieszkańcy wyspy cenią najbardziej tak zwane kocie oko*). Według ich mylnych wyobrażeń, nie napotyka się nigdzie więcej na świecie tego klejnotu.

Mnóstwo ludzi poświęca się szukaniu kamieni drogich, zatrudnienie to mozolne częstokroć zawodzi, bo nie każdemu poszczęści się znaleść klejnot większej wartości, wielu zaś traci czas i zdrowie bez najmniejszej korzyści. Znalezione kamienie Cejlończycy wymieniają u kupców mahometańskich za sól i suknie, lecz piękniejsze i droższe znajdują nabywców w kraju, przez co cena klejnotów tak wzrasta, że nieraz płacą się drożej w własnej ojczyźnie, aniżeli na targach europejskich. Według obliczeń, czwarta część znalezionych klejnotów pozostaje w Cejlonie, dwie czwarte zakupują Indye wschodnie, a reszta dopiero dostaje się do Europy. Corocznie wydobywają ich w kopalniach mniej więcej za sumę 10 tysięcy funtów szterlingów.

*) Kocie oko, gatunek kwarcu przeświecającego, który oszlifowany okrągło, migoce i ma podobieństwo do poruszającego się kociego oka.

DZIEWCZĘ POLSKIE.

»Panowie bracia! dalej na konie!
Daleko mamy pohasać;
Tam w owej stronie, gdzieś łuna płonie,
Tam, tam będziemy popasać«.

Na konie wskoczą, sztandar roztoczą.
Wesoło trąbka zadzwoni;
Rumaki spięli, bramę minęli,
A na ich czele on goni.

Pędzą bez trwogi, miną rozłogi,
Miną i stepy i pola,
Aż gdzie do koła plądruje sioła
Zawalczyk, czartów swawola.

»Hej bracia wiara! męztwo i wiara,
Odwaga bracia! Bóg z nami!«
Furknęły piki, runęły szyki,
I już się sieką z wrogami.

»Ho, ho! gdzie nasza, zafurknie pika,
Próżno się bronisz, psi synie!
Hartowna pika w krwi najezdnika
Łupieżcy serca nie minie.

Znajcie zuchwali grom polskiej stali!
Już ich wysiekli i lecą,
A gdzie za siołem tańczą półkołem,
Gdzie półmiesiące się świecą.

»Hej bracia wiara! męztwo i wiara,
Odwaga bracia! Bóg z nami!«
Zgęszczą się szyki, zafurkną piki,
I już się sieką z wrogami.

»Wiara wesoło!« wpadli na czoło,
I już na karkach im siedzą;
Szyki złamali, w trąbkę zagrali,
Tatarzy, gdzie ujść, nie wiedzą.

Tam, tam, na prawo, mknie Tatar żwawo,
Przy nim na siodle dziewczyna:
»Hej za mną dzieci! kordem zaświeci,
»To moja córka jedyna!«

Ten żwawo goni, ów żwawo stroni;
Lecz przed Zawolcem Dniestr płynie;
Wstrzymał się w biegu, stanął u brzegu,
Spiął konia — już na głębinie.

Dziewczę się zrywa i Boga wzywa,
I pchnie Tatara na tonie!
Konia zwróciła, na brzeg wskoczyła,
I już u ojca na łonie!

NA STRACONEJ CZACIE.

Więcej niż sto lat temu, toczyła się zacięta wojna pomiędzy Anglią i Francyą. Bito się nietylko w Europie, lecz na wszystkich morzach świata, nawet w Ameryce.

W owym czasie, dzisiejsze Stany Zjednoczone Północnej Ameryki, nie były tak jak dziś niepodległem państwem, ale należały do Anglii. Ponieważ zaś Francuzi już dawniej usadowili się w posuniętej więcej na północ Kanadzie, przeto Anglicy usiłowali teraz zagarnąć ją pod swoje panowanie; czemu znowu Francuzi ze wszystkich sił opierali się, broniąc swoich posiadłości.

Lecz oprócz tych dwóch europejskich narodów, rozległe ziemie północnej Ameryki zamieszkiwały liczne plemona Indyan, pierwotnych mieszkańców tej ziemi. Dziś są one po większej części wytępione, wyparte w dzikie pustynie i skały; lecz w czasie, o którym mówimy, Indyanie byli ludem licznym, wojowniczym, staczającym bezustanne walki pomiędzy sobą, lub z Europejczykami.

Śmierć przewodnika w górach.

Kiedy wybuchła wojna pomiędzy Anglikami a Francuzami, dzikie plemiona Indyan stanęły także do walki, łącząc się z jedną, lub z drugą stroną wojujących ze sobą Europejskich dwóch narodów. Mnogie i okrutne hordy Huronów, Osagów, Onejdów pomagały Anglikom w krwawych zapasach, Francuzom zaś sprzyjali mniej liczni, ale waleczni i szlahetniejsi Delawarowie i Mohikanie.

Gubernator francuzkiej Kanady, mający niewielkie siły do obrony kraju, po-

wierzył mały, ale składający się z dzielnych żołnierzy, oddział walecznemu generałowi, Montcalm. Generał miał strzedz górzystej krainy, pomiędzy jeziorem Erie, a ujściem rzeki św. Wawrzyńca.

Montcalm, wódz przezorny i doświadczony, znający ważność powierzonego sobie stanowiska, i szczupłe swe siły, nie szukał walki w otwartem polu, z o wiele liczniejszym nieprzyjacielem, lecz wybrał obronne, rozległe płaskowzgórze, otoczone dokoła skałami, gdzie założywszy warowny obóz, czuwał nad każdem poruszeniem Anglików, broniąc im wejścia w głąb Kanady.

Skalista ściana, otaczająca obronne stanowisko Francuzów, w jednem tylko miejscu miała szczerbę, prowadzącą do wązkiego wąwozu, gęsto zarosłego po bokach krzewami. Chcąc się dostać do wnętrza kraju, trzeba było koniecznie przejść ów parów; strzeżono go też najpilniej: czaty były zawsze rozstawione wzdłuż niego, aż do doliny leżącej w drugim końcu wąwozu.

Na trzy tysiące kroków od ostatniej straży w wąwozie, na małem wzgórzu, leżącem już w dolinie, stała najważniejsza czata francuzka. Tu ztąd bowiem rozpościerał się rozległy widok na dalekie stepy, wrzosem pokryte; w razie zaś pojawienia się nieprzyjaciela, dość było jednego strzału, aby zaalarmować cały obóz.

Minęło dni kilka, od założenia obozu, bez ważniejszego wypadku; aż pewnej nocy podoficer wysłany z oddziałem żołnierzy dla zluzowania straży, przyszedłszy do ostatniej, owej najważniejszej czaty, na wzgórzu w dolinie, nie znalazł żołnierza stojącego na warcie.

To nagłe zniknięcie czaty zdziwiło wszystkich. Generał Montcalm rozesłał liczne patrole w różne strony, ale wszelkie poszukiwania na nic się nie zdały; zaginionego żołnierza nie było ani śladu, nie odnaleziono go nigdzie.

Żołnierze robili najrozmaitsze i najdziwaczniejsze domysły nad nagłem zniknięciem swego kolegi.

— Niezawodnie niedźwiedź rozszarpał nieszczęśliwego Mathieu, biedny chłopak! — mówił jeden z kolegów.

— Ani myśli! — zaprzeczył drugi. — Prędzejby on pożarł niedźwiedzia.

— To prawda! — przywtórzył podoficer. — Wszyscy wiemy przecie, jak dzielnym, silnym i nieustraszonym był nieszczęśliwy straceniec. Szkoda go, szkoda!

— Kto wie! Może dał drapaka?!... — odezwał się młody ochotnik, mrugając domyślnie oczyma.

— Tybyś to niezawodnie uczynił, nietoperzu, gdyby cię tam postawiono! — zawołał stary sierżant. — Mathieu nie głupi! Wiedział on dobrze, że wyszedłszy ztąd, wpadłby w łapy czerwonym skórom*), któreby mu na poczekaniu oporządziły czuprynę**).

— Mnie się zdaje, że to te czerwone szatany wyprawiły na tamten świat naszego biednego kolegę — rzekł podoficer. — Ho! ho! Te sobacze dusze umieją się tak zawinąć około poczciwego żołnierza, że i najwaleczniejszy, nim się obróci, już ma łeb urwany!

— Domysł pana podoficera byłby słuszny — zauważył sierżant — gdyby tu były blisko te czerwone indyjskie djabły, ale przecie wiadomo, że pociągnęli z Anglikami na Południe.

— A ja wam powiadam — mruknął stary wiarus Bellegarde, ruszając z irytacyi ogromnymi wąsami — że to ani Anglicy, ani Indyanie, ani niedźwiedzie... Ten wąwóz, te skały, te stepy... No, już więcej nie mówię...

— Czemu? czemu? Co wy wiecie, stary?! — wołali na wyścigi żołnierze. — Powiedźcie nam przecie co macie przeciwko tym skałom, wąwozom, stepom?

— Co mam? Co mam? Nie podobają mi się... Czy wy sami nie widzicie, co to za wygodna siedziba... ba! nie jedna, ale sto!

— Ale czyja siedziba? Co tu z nami w tych skałach siedzi? Mówcież, u licha! — wołali żołnierze śmiejąc się i obstępując w około starego. .

*) Czerwonemi skórami nazwano Indyan dla ich miedzianej cery.

**) Indyanie zabitemu nieprzyjacielowi zdzierali skórę z głowy wraz z włosami, i te okropne znaki zwycięstwa nosili przytwierdzone do pasa.

— Co w nich siedzi? Oto djabeł ze swoimi kamratami! — krzyknął najbliższemu do ucha, ale tak głośno, że aż żołnierz odskoczył.

Lecz zabobonny wojak widząc, że się wszyscy śmieją, splunął ze złością, machnął desperacko ręką i, odchodząc, mruczał pod nosem:

— Śmiejcie się, śmiejcie! Zobaczycie wy jeszcze i zobaczę ja, czy się było śmiać z czego.

Pozostali żołnierze spoglądali po sobie, wzdrygali ramionami, kiwali głowami, ale ostatecznie nie wiedzieli co o tem zniknięciu kolegi i obawach Bellegarde'a sądzić.

Na wieczór wybrano tęgiego Normandczyka Conrada, który miał stać na straconej czacie. Conrad, idąc na wartę, uśmiechał się pogardliwie i zapewniał wszystkich, że żywcem przyprowadzi nocnego rozbójnika, aby można pomścić jak należy, biednego Mathieu. Z ochotą zajął Conrad swoje stanowisko, i nie wrócił z niego więcej.

Kiedy bowiem nad ranem podoficer poszedł zluzować wartę, nie znalazł ani Conrada, ani broni, wszystko znikło bez śladu. Niepokój i obawa zapanowały w obozie; generał zarządził znowu jeszcze ściślejsze poszukiwania, badania, lecz te, tak samo jak pierwsze, były całkiem bezskuteczne.

Żołnierze robili najdziksze przypuszczenia; tylko stary Bellegarde mruczał coś pod nosem i z taką pewnością kiwał głową i machał ręką, jakby rzecz całą znajdował zupełnie w porządku i niczemu się nie dziwił. Natomiast inni żołnierze o niczem nie mówili, tylko o straconej czacie, w obozie wrzało od tych rozmów. Gdy zaś następnej nocy poszedł na niebezpieczną czatę dzielny Joliet, uchodzący za najsilniejszego i najbardziej doświadczonego żołnierza w całem wojsku i również jak dwaj jego poprzednicy, przepadł bez śladu, groza przejęła obóz.

Wojsko zaczęło szemrać, że nie podobno jest walczyć z jakimś niewidzialnym nieprzyjacielem, bo przecież, gdyby się zwykły wróg pokazał, straż byłaby alarmowała obóz; tymczasem nieszczęśliwe czaty ginęły cicho, tajemniczo, jakby się w ziemię zapadały. Burzyli się przeto żołnierze coraz więcej, mówiąc, że jakaś nieczysta siła opasała ich obóz, że to najpewniej sam szatan, o którego sztuczkach stary Bellegarde opowiadał tak straszne historye, że najmężniejszym włosy stawały na głowię ze strachu.

Czwartego wieczora wyglądali wszyscy ze zgrozą i niepokojem; kompania zaś mająca tej nocy pełnić służbę obozową bliską była rokoszu. Nadszedł wreszcie złowrogi wieczór; gdy na otrzymany rozkaz wystąpiła kompania, trudno było poznać tych odważnych, dzielnych żołnierzy. Groźne zwykle twarze starych wilków wojennych, którzy już tyle razy zaglądali śmierci w oczy bez trwogi, blade były i zmieszane tajemną obawą na myśl, że może dziś jeszcze przyjdzie się zmierzyć z nieznanym więc strasznym nieprzyjacielem.

Sam generał Montcalm przybył na plac, aby dodać ducha żołnierzom. Gdy przechodził przed frontem, dało się słyszeć szemranie.

— Cóż to ma znaczyć? — zawołał hrabia Montcalm, zatrzymując się.

Wszyscy umilkli, jeden tylko Bellegarde pomrukiwał z cicha.

— Czego mruczysz, stary niedźwiedziu? — spytał generał ostro i przystąpił do niego.

Lecz wojak się nie zmieszał wcale, tylko odparł śmiało:

— Mówię, panie generale, że trudna sprawa, wojna z szatanem; to rzecz nie dla poczciwych wiarusów. Gdyby tak Anglikom kurtę skroić... O! to i owszem! Ale szatanowi!...

— Nie plótłbyś, stary, głupstw i nie zawracał młodym głowy. Widziałeś ty szatana, żeś taki pewny swego?

— Oh! panie generale! Anim go widział, ani widzieć pragnę dyablej mości! Ale to pewna, że ani ja, ani Mathieu, Conrad i Joliet nie daliby się tak łatwo i cicho sprzątnąć czerwonym mundurom, ani czerwonym skórom. Lecz

inna rzecz z Belzebubem: ten odrazu łeb ukręci, jak to już trzem naszym kolegom urwał... I gońże go potem, albo się broń, kiedy nawet nie wiesz, w jakiej postaci cię napadnie?!

— Bredzisz, stary, bredzisz! Czata to jest najważniejsza, a ponieważ stała się i najniebezpieczniejsza — mówił generał — przeto, ażeby się nikt nie żalił, niech los rozstrzygnie: kto wyciągnie numer pierwszy, ten pójdzie na straconą czatę dzisiejszej nocy.

— Wiwat! Niech żyje nasz generał! — wykrzyknął Bellegarde, a za nim powtórzyła okrzyk cała kompania.

Wnet w dwa kaszkiety włożono zwinięte kartki; na jednych było ośmdziesiąt numerów porządkowych, na drugich ośmdziesiąt nazwisk żołnierzy, składających kompanią.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

* Objaśnienia rycin. *

Śmierć przewodnika w górach. Wspaniałe i piękne są takie góry, jak szwajcarskie Alpy, hiszpańskie Pireneje, a dla nas Polaków najmilszy polskie Tatry! Pobyt w nich jest dla ducha i ciała człowieka, pokrzepieniem i przyjemnością. Nic dziwnego przeto, że tysiące ludzi rokrocznie przyjeżdżają do gór na kilka tygodni, ażeby wypocząć i orzeźwić umysł. Kto ma siły po temu, wyprawia się na wierzchołki gór, nieraz tak wysokie, że chmury są niżej.

Na taką wyprawę nie można się udawać bez przewodników czyli górali, którzy w tamtych stronach się urodziwszy i wychowawszy, każdy nieomal kącik znają i ścieżki wskazują.

Ścieżki te mogą być bardzo niebezpieczne szczególnie na takiej wysokości, gdzie śniegi leżą zimą i latem. Pod pokładem śniegu, który zdaje się być pewnym i mocnym, ukrywa się przepaść wielka. Niedoświadczony łatwo tam śmierć znajdzie.

Dla tego podróżni najmują przewodników, którzy ich prowadzą bezpiecznemi ścieżkami. Lecz i wtedy zdarzy się nieraz nieszczęście i podróżny razem z przewodnikiem wpadłszy w przepaść, giną.

Taką chwilę przedstawia obrazek w niniejszem »Świetle«. Stary przewodnik udał się na wycieczkę i już z niej żyw nie powrócił. Krewni i przyjacieli poszli go szukać i znaleźli bez życia.

✿ ROZMAITOŚCI. ✿

* **Buńczuk,** sztandar turecki z ogona końskiego, na wysokiej lasce zawieszonego, zamiast chorągwi służący. Przed baszami, którzy są w stopniu wezyra, noszono buńczuk ze złotą gałką i trzema ramionami, u których wisiały bogato oprawne trzy ogony; przed sułtanem noszono buńczuk siedmioogonowy. Niższych stopni baszowie mieli buńczuki pojedyncze lub podwójne. Polacy gromiąc Turków zdobywali ich buńczuki, stąd buńczuk z wojny przyniesiony, należał do znamion zwycięstwa i zwykle zawieszany bywał w kościele parafialnym wojownika, który go zdobył. Zwyczaj noszenia buńczuków przeszedł następnie do Polski, a mianowicie w pochodach i wyprawach wojennych przeciw Turkom i Tatarom, noszono przed hetmanem wielkim buńczuk dwuogonowy, przed polnym zaś pojedynczy. Sobieski tak przywykł do tego, że nawet gdy został królem, nie ruszał na wojnę bez buńczuka Stefan Batory organizując Zaporożców, przesłał atamanowi Bogdanowi jako znak władzy, buńczuk z przywilejem, w którym powiada, że klejnot ten zdobyty »u narodu azyatyckiego pracą hetmańską a krwią kozacką.« Polacy buńczukami oprawnymi w złoto, srebro lub mosiądz pozłacany, ozdabiali swoje szyszaki lub zawieszali na piersiach swych koni. Buńczuk biały był najstrojniejszy. Od nazwy buńczuk, powstały w języku polskim wyrazy: buńczuczny, buńczuczno, buńczuczyć się, znaczące to samo co pysznić się, junaczyć. Bogatsi mieszczanie lwowscy, jak to widzimy z dzieła Wł. Łozińskiego p. n. »Patrycyat, używali także dla parady buńczuków »pod gardło koniowi.«

✧ FRASZKI. ✧

* **Niechże tak zostanie.** Sternik pewnego okrętu raz nadto głęboko zaglądnął do kieliszka i nie mógł pełnić służby. Nazajutrz rano, kiedy znowu stawił się do służby i do dziennika okrętowego zapisać chciał swe notatki, ujrzał napisane ręką kapitana wyrazy: »Sternik cały dzień pijany.«

— Panie kapitanie — rzekł do kapitana, skoro go ujrzał — potrzebnem to koniecznie nie było.

— A czy to nieprawda? — zapytał się kapitan.

— Niestety, prawda.

— Niechże tedy tak zostanie.

Wieczorem kapitan zaglądnął ze zwyczaju do dziennika i z niemałem zdziwieniem wyczytał tam wyrazy: »Kapitan cały dzień trzeźwy«.

— Co to znaczy? – zapytał sternika — wygląda to tak, jakbym tylko w tym jednym dniu był trzeźwy!

— A czy to nie prawda, że pan kapitan był trzeźwy?

— Oczywiście, że prawda.

— Niechże tedy tak zostanie.

Nakładem i czcionkami Wydawnictwa »Katolika« w Bytomiu G.-Ś — Redaktor odp.: Adam Napieralski w Bytomiu.

405

ŚWIATŁO

Pismo z obrazkami dla katolickich rodzin polskich.

Rok XI. Bytom G.-Ś., 22-go Lipca 1897. Nr. 29.

„Światło“ wychodzi co Czwartek. — Przedpłata kwartalna wynosi **1 markę** = 75 centów. — Abonować można na każdej poczcie (Zeitungs-Preisliste **t** (Polnisch) 107), w każdej księgarni, u agentów i z Wydawnictwa „Katolika“ w Bytomiu na Górnym Ślązku (Beuthen O.-S.)

Ogłoszenia przyjmują się za opłatą 15 fen. od **3**-łamowego wiersza drobnym drukiem.

Cztery obrazki z życia Papieża IX.

I.

Pewna część miasta Rzymu jest wyraźnie tylko na pomieszkanie dla żydów przeznaczona. Do tej brudnej i niezdrowej okolicy — nazwanej Getto — Chrześcijanin rzadko kiedy się zabłąka.

Pius IX starał się zaraz na początku swego panowania, aby to Getto podnieść i ulepszyć. — Aby Ojcu św. za usiłowanie podziękować, wysłała gmina żydowska do niego deputacyę, dołączając jako prezent urnę, która już kilka set lat w Gecie się znajdowała.

Po miłem przyjęciu Papież tak do nich przemówił: »Dziękuję wam, moje dzieci, za podarunek i przeznaczam tysiąc talarów dla ubogich rodzin waszego wyznania w Gecie zamieszkałych.

II.

W roku 1848 napisał dwunastoletni chłopiec do Piusa IX. następujący list:

»Ojcze św., matka moja jest chora i słaba i znajduje się w wielkiej nędzy. Ojciec nam umarł, więc teraz ja się o jej utrzymanie staram, ale mój zarobek nie wystarczy na zakupienie niektórych niezbędnych przedmiotów i na lekarstwa dla niej zapisane. Potrzebuję na to 8-9 złotych, a jeżeli Wasza Świętobliwość pozwoli, przybędę jutro i powtórzę prośbę moją ustnie.«

Papież wzruszony tym listem rozkazał, aby mu chłopca skoro przyjdzie przedstawiono. Tenże nieomieszkał się stawić i nie dając się widokiem Papieża bynajmniej zbić z toru, prośbę powtórzył. Pius IX dał mu dwa dukaty wartości 12 złotych. Nie mam, rzekł chłopiec, aby trzy złote, które nadto odebrałem, zwrócić. Uśmiechnął się Papież nad niewinną prostotą dziecka i kazał mu wszystko zatrzymać.

Wysłany za oddalającym się poseł, przekonał się, że pieniądze rzeczywiście na podany cel zostały wydane. Pius IX przywołał zatem chłopca ponownie do siebie i oświadczył, że się wychowaniem jego zajmie. Lecz ten nie przyjął ofiarowanej pomocy z powodu, że niepodobna mu opuścić matki, której jedyną był podporą.

A więc, odpowiedział papież, będę się i matką twoją opiekował dla tego że biedna i tobą, dla tego żeś tak dobrym synem jest.

III.

Pewien obywatel rzymski utracił nieszczęśliwym przypadkiem konia, którym towary swe do miasta dowoził. W swem nieszczęściu napisał natychmiast do nowo obranego Papieża, o którego dobroczynnosci dużo był słyszał prośbę o darowanie konia. Udał się do pałacu papiezkiego i oddał list sekretarzowi Ojca świętego. Pius IX. biednemu Rzymianowi bezwłocznie z własnych stajen konia i dwa dukaty, na urządzenie przekazał. Ale też trzeba było widzieć, z jaką tenże radością dosiadł konia i »niech żyje Pius IX, niech żyje Pius IX« wykrzykując do domu popędził.

IV.

Młode Rzymianki noszą zazwyczaj na piersiach złoty krzyżyk, z którym chyba wielka potrzeba je rozłączyć może.

Do tej ostateczności została pewna młoda robotnica doprowadzoną; sprzedała krzyżyk, aby dla matki chleba kupić. Powróciwszy do domu, rzekła: Kochana matko, mamy teraz pożywienie na kilka dni, niezadługo będę miała robotę, bo nasz dobry papież w tym względzie już rozporządził; Pan Bóg nas nie opuści, a Pius IX czuwa nad nami!

Papież o wszystkiem się dowiedział i jeszcze tego samego dnia odebrała dziewczyna z Watykanu następujący list:

»Słusznie, moje dziecko, zaufałaś Panu Bogu, który miłość dziecinną zawsze wynagrodzi, słusznie, też zaufałaś Piusowi IX, który się postara, abyś razem z matką swoją nadal głodu nie cierpiała. Do listu był dołączony ów sprzedany krzyżyk i pięć dukatów.

O chwale Bożej i chwale królewskiej.

Gawęda z żebrackiego żywota.

I.

W kruchcie jednej niedzieli,
Wynędzniali, nieśmieli,
Dwaj żebracy siedzieli.

A że wcześnie dość było,
A gawędzić tak miło,
Więc się sobie gwarzyło.

Gwarzą różnie a różnie,
Satyrycznie, ostróżnie,
O panach, o jałmużnie.

O kalectwie i latach,
O szatach i o łatach,
O dziadowskich intratach,

O żebrackim swym stanie,
O dzwonach, o organie,
I o księdzu plebanie.

I rzekł Szczudło koledze:
»Wiesz, że doma nie siedzę,
Czasem wioski odwiedzę.

Czasem sobie zachodzę
Pod figurę przy drodze,
I tam piosnki wywodzę.

Jest przychód jaki taki,
Na dzień ze dwa szóstaki
Na kupienie tabaki.

Ale najlepsza rada,
Iść gdzie odpust wypada,
Gdzie narodu gromada.

Mówić święte pacierze,
I śpiewać piosnki szczerze,
A pewno się grosz zbierze.

Ale jedna przestroga;
Módl się tylko do Boga,
Nie patrz, czy kwota mnoga.

Bierz jak podarek boży,
Kto co do ręki włoży,
A Pan Bóg ci pomnoży,

I twych modłów nie straci,
Za jałmużnę współbraci
Dobrodziejom zapłaci!«

Słuchał Kostyl tej mowy:
»Rozum« — rzecze — »wart głowy,
Koncept wielce jałowy.

Iść pod krzyżyk... a może...
Zbierzesz skarby nieboże,
Pan ci dopomoże.

A ja idę we dwory,
Choć żebrackie ubiory
Psy szarpają ze sfory.

Mam jałmużny do syta.
Król mię żywi i — kwita,
Pełna moja kaleta.

Człek się wesprze na kuli,
Idzie pod zamek króli,
Do muru się przytuli.

Tam zjeżdżają się pany,
Wojewody, hetmany,
Każdy w złoto przybrany.

Spojrzy który k'tej stronie,
Ja się nizko pokłonię
I wyciągam me dłonie.

Z panami trudna rada,
Czasem jasna gromada
Ani spojrzy na dziada.

Czasem bywa człek w biedzie,
Gdy się wymknie po przedzie,
To ktoś koniem najedzie.

Albo gorzej się zdarzy,
Kiedy żołdak ze straży
Halabardą nędzarzy!

Czasem — dworskie swawole —
Rzuci kamień pacholę,
Wlepi siniec na czole.

Lecz często, zamiast psoty,
Ze szczególnej szczodroty,
Rzuci czerwony złoty.

Albo pan jaki raczy
Dać do ręki żebraczej
Sto złotych — nie inaczej.

Ha! każdy ma swe gusty:
Ja wolę kąsek tłusty,
A ty — sielskie odpusty.

Bóg dobry! tak kolego,
Lecz król... to co innego,
Król to żywi biednego!

Nie król, to dwór, co hula;
Ciebie Pan Bóg rozczula,
Co do mnie, wolę króla.

Wejdź pod królewskie znamię.
Siądź przy zamkowej bramie.
Obaczysz, czy ja kłamię?«

Szczudło coś głową kiwa,
Wtem organ głos przerywa,
Wyszła święta wotywa.

Boga tamten, ten króla chwali, —
A król stojąc w oddali,
Podsłuchał, co gadali.

II.

W tydzień — znów dziady społem;
Król z senatorskiem kołem
Wysiada przed kościołem.

Idzie gdzie dwaj żebracy;
Za nim niosą dworacy
Dwa bocheny na tacy.

Król, z uśmiechem na twarzy,
Obu biednych nędzarzy
Własnoręcznie obdarzy.

Szczudło, co chwalił Boga,
Dostał bochen pieroga,
Bułka cienka i droga.

Kostyl z królewskiej chwały,
Wziął chleb czarny i mały,
Ciężki jakby ze skały.

Szczudło w rogu cmentarza
Tylko pacierz powtarza,
Na podarek nie zważa.

Oparł ręce u kija,
Wzrokiem niebo przebija,
Mówi Zdrowaś Marya!

Kostyl, chwalca królowy,
Nie rad z bułki razowej,
Szedł po rozum do głowy:

Skradł się cicho, i zaczem
Szczudło modli się z płaczem,
Zmienił bułkę cichaczem.

Szczudło w rogu cmentarza
Ciągle pacierz powtarza,
Zamiany nie uważa.

Po mszy świętej, po sumie,
Modląc się jak kto umie,
Ludzie wychodzą w tłumie.

Mniej już ludu co chwila,
Każdy gdzieś się posila, —
Rzekł Szczudło do Kostyla:

— »Czas nam użyć swobody,
Weźmiem chleba i wody,
Siądziem wedle gospody.

Zjemy obiad żebraczy,
Niech Bóg nagrodzić raczy
Naszych dobrych wspieraczy!«

Dobył chleb z za pazuchy,
Czarny, ciężki i suchy,
Aż się sypią okruchy.

— »No, syć się bożą chwałą,«
Rzekł mu Kostyl zuchwało,
»Patrz, co mi się dostało!

Ja za królewskie zdrowie,
Mam bułkę, co się zowie,
Jadam jako panowie.«

Szczudło spojrzał przez ramię,
Chleb swój suchy rozłamie:
»Boże! czy wzrok mój kłamie?!

Cóż to? zkąd się to wzięło?
Opatrznościż to dzieło?«
Z chleba złoto sypnęło!

Bo król, hojny w potrzebie,
Wdzięczen pochwał dla siebie,
Zapiekł złoto we chlebie, —

Ze dwie garści niemałe,
By okazać swą chwałę,
Że ma serce wspaniałe!

I Kostyla nędzarza,
Co na Boga nie zważa,
Własnoręcznie obdarza.

Lecz Pan Bóg przeinacza:
On podarek bogacza
Swemu chwalcy przeznacza.

Więc się Szczudło rozczula,
Choć chromieje i kula,
Szedł dziękować do króla.

Król krzyknął: »Precz beznogu!
Do kościelnego progu,
Dziękuj tam Panu Bogu!«

Bo wstyd się w oczach zdradza,
Że nie królewska władza,
Lecz Pan Bóg wynagradza.

III.

Szczudło za swe dukaty
Wyniósł kościół bogaty,
Dał złote aparaty,

Zbudował dwa szpitale,
I sam przy bożej chwale
Żył pobożnie, wspaniale.

Aż syt Pańskiej opieki,
Poszedł na kraj daleki,
Królować z Nim na wieki.

Źródełko i lipa św. Wojciecha.

O dobrą milę od Krakowa jest wioska Modlnica. Nazwa tej wsi, wedle podania ludowego, pochodzi ztąd, iż tam się ostatni raz modlił św. Wojciech gdy z Krakowa szedł do Gniezna a potem do Prusaków. Liczne grono wiernych chrześcian odprowadzało św. Wojciecha z Krakowa, nie mogąc się rozstać z ukochanym i świętym swym nauczycielem. Gdy już wreszcie miano się żegnać, pyta św. Wojciech:

— Nie trzeba wam czego? macie wszystko?

— Ach, Ojcze łaskawy, — szepną ludziska, — mamy chleba dość, ale woda niezdrowa. Nie ma źródła dobrego.

Wtedy św. Wojciech uderzył laską pielgrzymią w ziemię, a w tej chwili zdrój wody wytrysnął. Woda ta ma

mieć smak przedziwny i na słabości oczne jest bardzo pomocna.

Nad tem źródełkiem, zasadził św. Wojciech lipę, która się wnet przyjęła i liśćmi okryła. Jedna zaś z kobiet, przy pożegnaniu św. Wojciecha, pokazała mu ranę od ukąszenia węża i żaliła się, że tu ludziom węże dokuczają. Wtedy rzekł św. Wojciech:

— Rozkazuję — by nigdy tu ludziom węże nie dokuczały.

Istotnie od tej pory wężów w Modlnicy nie ma, chociaż są we wsi sąsiedniej.

Później, po wielu latach, wiatr to drzewo wywrócił, więc ludzie zanieśli je z uszanowaniem na podwórze dworskie, lecz rano na drugi dzień lipa była na starem miejscu.

Powtarzało się to trzy razy. Rzekli wtedy ludzie:

— Widać, trzeba ją tu zostawić, niech dalej rośnie.

I tak zrobili. Drzewo zapuściło nowe korzenie i stoi do dziś. I do dziś wieś Modlnica przypomina drogie wspomnienia o św. Wojciechu. Dawniej ta wioska nazywała się Zagórze.

Praktyczne rady.

— **Pasztet** z gotowanego mięsa na 4 osoby. Funt mięsa wołowego gotowanego albo też resztki pieczeni sieka się drobno i mięsza z $^1/_2$ funta surowej siekanej wieprzowiny i z siekanem śledziem, dodaje się $^1/_2$ litra kwaśnej śmietany, wielką utartą cebulę i nieco tłuczonego pieprzu i korzeni. Następnie kraje się w plasterki $1^1/_2$ litra kartofli, kładzie połowę w ich formę, na to przygotowaną mięszaninę mięsną, na to drugą połowę kartofli, $^1/_4$ funta masła rozdziela się w formie i piecze w końcu pasztet na miernym ogniu przez $^3/_4$ godziny, aż dopóki nie nabierze barwy brunatno-żółtawej.

— **Kawa z kasztanów**. Słodkie jadalne kasztany, obiera się z łupiny i cienkiej spodniej skórki, kraje na małe kostki, wysusza w piecu, pali i miele jak zwyczajną kawę.

Rozmaitości.

* **Niektóre z dzienników włoskich** wysłały na plac boju do Tessali i Epiru swoich korespondentów, którzy dzielili losy wojska greckiego i ochotników legionu garybaldczyków. Jeden z tych korespondentów, Adolf Rossi, z Corriera della Sera, wychodzącego w Medyolanie, spisuje obecnie swoje wspomnienia z ostatniej kampanii.

Korespondenci używali wszelkich możliwych wehikułów, aby dotrzeć do placu poju, ale największe usługi oddał im kołowiec. Gdzie tylko droga była możliwa, wszyscy wsiadali na bicykle, a w górach na ścieżkach i stokach kamienistych używano koni i mułów, rzadko tylko znalazł się powóz.

Ludność wiejska grecka nie znała bicyklów, więc korespondent włoski, jadący na żelaznym rumaku, był wszędzie przedmiotem wielkiego podziwu. Wogóle Rossi nie może nachwalić się bicykla. Przychodziły chwile, kiedy trudno było o powozy, o konie i muły, bo wojsko zabierało je dla siebie pod żywność i rannych, wtedy jedynym środkiem do podróżowania był bicykl.

Co jednak było szczególnie nieocenioną zaletą kołowca, to to, że go Grecy nie kradli, bo go nie znali i obejść się z nim nie umieli. Przecież kilku korespondentom ukradziono w nocy konie, ale do kołowca nikt się nie zakradał....

Tym sposobem każdy z panów korespondentów, uzbrojony w bicykl, był pewnym, ze do Aten piechotą nie powróci.

* **Przedpotopowy dąb** sprzedano w tych dniach na publicznej licytacyi w Paryżu. Drzewo to kolosalne waży 35,000 klg., ma 31 m. długości i 9 m. obwodu. Znaleziono je w korycie rzeki Rodanu a sprzedano za sumę 4300 franków.

ZAGADKA.

. . . .
. . . .
. . . .
. . . .
. . . .

Siedm wyrazów pięciogłoskowych ułożyć obok siebie w miejscu kropek kierunku pionowym, aby rząd pierwszy utworzył nazwisko poety, a rząd ostatni pseudonym poetki.

Znaczenie wyrazów: 1) Pospolite na wsi, lecz w mieście wyżej czynione. 2) Kwiaty ogrodowe, z Ameryki pochodzące. 3) Miasto w Japonii. 4) Odnoga Wisły. 5) Kwiaty wiosenne. 6) Łacińska nazwa ziarna. 7) Narzędzie muzyczne dawniejsze.

Rozwiązanie zagadek z Nr. 27:

1.

				T				
			R	A	K			
		K	A	R	T	A		
	K	O	N	N	I	C	A	
T	A	R	N	O	W	S	K	I
	S	I	E	W	N	I	K	
		K	A	S	S	A		
			O	K	A			
				I				

2.

TARABAN.

Dobrze odgadli pp.: R. Pietruszka, Laurahuta; A. Drabik, Szopienice; J. Badura, Rozdzień; J. Knopp, Zabrze; A. Waranka, Wybranówko.

Nakładem i czcionkami Wydawnictwa „Katolika“ w Bytomiu G.-Ś.